Rok IV Rzeszów, 24. 9. 1955 r. Nr 36 (282)

Nowiny TYGODNIA

Tygodniowy dodatek „Nowin Rzeszowskich"

Dziś w numerze:

W. PRUSEK — Żurbinowie

* * *

ST. DUBYK — Nowej dyrekcji pod rozwagę

Przed jesienną wystawą plastyków rzeszowskich

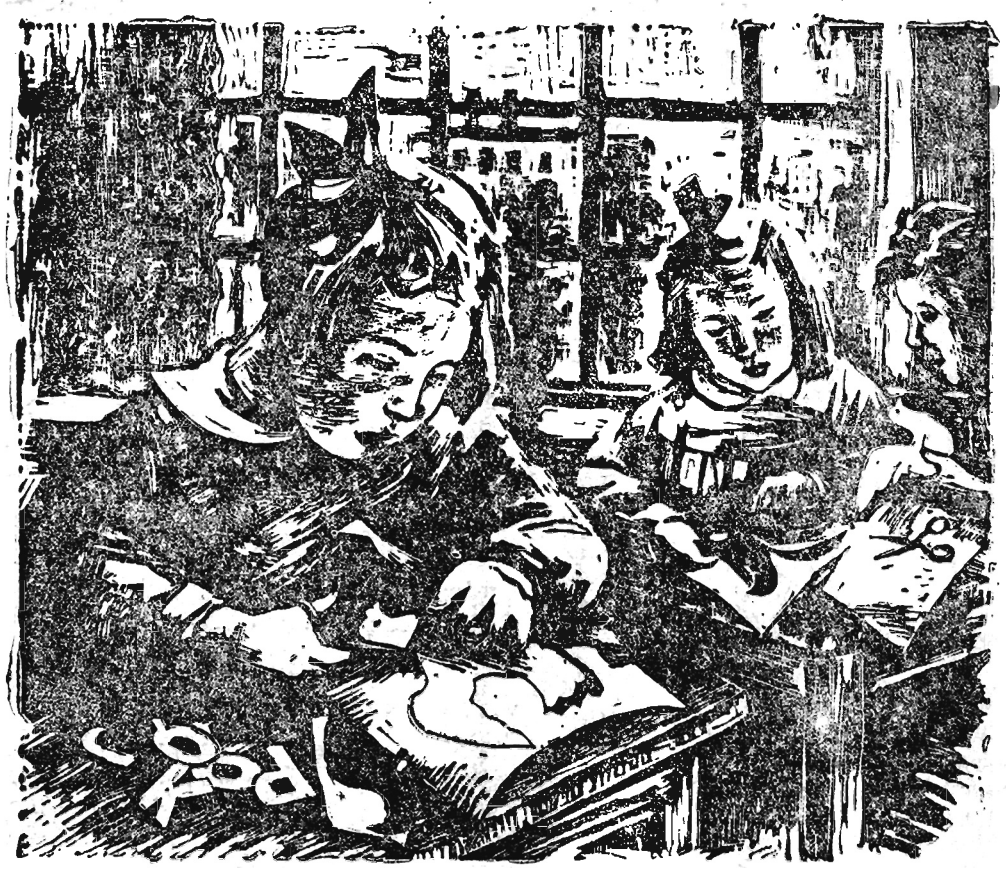

Z teki drzeworytów M. Gabryel Rużyckiej „Mali obrońcy pokoju"

U hutników w Stalowej Woli

Wszystkie niemal domy kultury, które odwiedziłem upodabniają się do siebie nie tylko pod względem architektonicznego rozwiązania, ale i pod względem organizacji i stylu pracy, a nawet popełnianych błędów. Nie wiem skąd wynika takie ujednolicenie, ale wydaje mi się ono zjawiskiem bardzo niepożądanym. Śmiem stwierdzić, że przeoczono tu tak ważną sprawę jak zachowanie odrębności stylu ze względu na region, środowisko, obyczaje itp. — i to nie tylko w wypadkach doboru repertuaru zespołów artystycznych.

* * *

Jak wiele innych tak i Zakładowy Dom Kultury Huty Stalowa Wola dominuje swą sylwetą pośród 2-piętrowych budowli rozsiadłych wokół reprezentacyjnego placu. Tu także — jak i gdzie indziej podstawę działalności stanowią amatorskie zespoły artystyczne. Tu też podobnie jak w innych domach kultury — zaniedbano, lub nie zdołano wypracować ciekawych form pracy oświatowej. Tu, jak w soczewce skupia się cały szereg innych znamiennych i dla powstałych domów kultury — osiągnięć i błędów. Pracują tu zespoły artystyczne: taneczny, teatralny, zespół akordeonistów, zespół mandolinistów, chór i kółko fotoamatorów — razem prawie 300 osób.

Kierownictwo DK w Stalowej Woli popadło w trudności z powodu braku chętnych dziewcząt (szczególnie) i chłopców do zespołu teatralnego. Ogólnie zaś należy stwierdzić, że Zakładowy Dom Kultury Huty „Stalowa Wola" za mało oddziaływa na młodzież, nie przyciąga jej do pracy kulturalno-rozrywkowej. W hucie 70 proc. zatrudnionych stanowi młodzież, miasto liczy prawie 25 tysięcy mieszkańców, a w tym też spory procent młodzieży. Jeśli zaś stwierdzamy, że około 300 osób pracuje w zespołach artystycznych (a to przecież nie wszyscy młodzi), to jest to stosunkowo niewielki procent objętych zasięgiem działalności DK. A tak się dzieje nie tylko w Stalowej Woli.

Niemal, że typowa absencja młodzieży w pracy zespołów artystycznych i w ogóle w rozrywkach organizowanych przez domy kultury, jest wynikiem braku przywiązania do miejsca, które dla młodzieży powinno być źródłem radości wzbogacającym jej wiedzę o życiu, o świecie dającym bogatą skalę wzruszeń i przyjemności.

Młodzież stroni od nudy. Młodzież jest chętna i kto potrafi wzbudzić w niej aktywny stosunek do pracy kulturalnej, kto nie planuje imprezy przy biurku, lecz sięga do zainteresowań i życia młodzieży, każe jej organizować wieczorki, ufa jej pomysłowości, smakowi, lecz ogranicza się do roli starszego kolegi, doradcy, rzeczoznawcy — ten może liczyć na wyniki swej pracy z młodymi.

Sporo by można zacytować przykładów z posiadanych pod ręką materiałów, jak w wielu zakładowych domach kultury, dzięki takiej polityce trafiono do młodzieży. Nie gdzie indziej tylko właśnie w stalowowolskim domu kultury spotkałem kolegów: Henryka Dąbrowskiego, Mietka Załuskiego, Stanisława Czarnotę, Zdzisława Lotko i innych, którzy się z zachwytem wyrażają o swej pracy w zespołach artystycznych. Twierdzą, że znajdują tu wiele radości, rozrywki, dają upust młodzieńczej energii — i za nic w świecie by się tej przyjemności nie wyrzekli. A więc do nich trafiono. Do dziesiątków innych jeszcze nie.

W wielu wypadkach, w domach kultury spotkałem się z faktami niedostatecznej pomocy, opieki i zainteresowania dla swych ośrodków kultury ze strony rad zakładowych, dyrekcji a nawet komitetów zakładowych PZPR. Ponieważ najdobitniej występuje to w hucie Stalowa Wola posłużę się znowu przykładami z tego terenu.

Krótko by można się wyrazić: niedocenianie, niedbalstwo i lekceważenie tak poważnego ośrodka kulturalnego jak dom kultury jest poważnym błędem politycznym. Dłużej się nad tym rozwodząc można to zilustrować faktami. Zespół teatralny opracowywał 7 miesięcy adaptowaną nowelę „Szkice węglem" Sienkiewicza, a Rada Zakładowa nie kiwnęła palcem aby zorganizować widownię, mimo że 70 proc. załogi dojeżdża ze wsi i dla tych właśnie wystawiono sztukę. Na 10 etatowych pracowników Rady Zakładowej jeszcze nikt nie obejrzał „Szkiców", zaś Rada Oddziałowa Odlewni Staliwa nie chce wpuścić zespołu do swojej pięknej świetlicy.

Sprawy DK nie są nigdy przedmiotem obrad Prezydium Rady Zakładowej, Egzekutywy KZ. Nie wie prawie nic o działalności DK dyrektor naczelny huty tow. Józef Waniek.

Przejrzałem kilkanaście numerów gazety zakładowej „Socjalistyczne Tempo" i nie znalazłem choćby małej wzmianki o domu kultury. Nie jest tu bez winy i kierownik DK tow. Ciepik, który nie wykorzystuje prasy wewnętrznej dla spopularyzowania działalności DK.

Powiedzieliśmy na początku, że domy kultury powinny wypracowywać swój własny styl, oryginalny charakter, zaznaczyć swą regionalną i środowiskową odrębność. W tym oczywiście nie może przeszkadzać szeroko stosowana wymiana doświadczeń między kierownictwami domów kultury. Wiem, że rady okręgowe poszczególnych związków zawodowych organizują w tym celu odpowiednie odprawy. Ale taka wymiana doświadczeń jest możliwa dotychczas w ramach tylko jednej branży związkowej.

Nie ulega wątpliwości, że wiele by mieli do powiedzenia o swej pracy, trudnościach i osiągnięciach — kierownicy domów kultury z branży metalowców, górników, hutników itp. na wspólnym spotkaniu np. w WRZZ.

Przyczyniłoby się to do uniknięcia wielu, dziś typowych błędów w działalności związkowych domów kultury naszego województwa.

Mieczysław Pisarek.

Dwa proporce w Wielkich Oczach

PRZODUJĄCY ZESPÓŁ ARTYSTYCZNY — PRZODUJĄCA GROMADA

O wiosce z oryginalną nazwą Wielkie Oczy w powiecie lubaczowskim powiedzieć można słowami bajki: leży za siedmioma górami, siedmioma lasami i siedmioma (dosłownie!) kilometrami fatalnej piaszczystej drogi. Odcięta od reszty świata (!) — i to określenie jest odpowiednie, bowiem do Wielkich Oczu nie dojeżdża ani kolej, ani autobus PKS, ani inny możliwy helikopter... Jeszcze przed wojną Wielkie Oczy były małym miasteczkiem. Była w nim i gorzelnia, i tartak, i cegielnia, lecz przyszła tragiczna noc w lipcu 1944 roku gdy na Wielkie Oczy napadli uzbrojeni bandyci UPA.

— Ech, straszne to było — wspominają ci, którym szczęśliwie udało się uniknąć śmierci. Bandyci spalili miasteczko, wymordowali mieszkańców... A i początki w wolnej ojczyźnie też nie były łatwe...

Gromada Wielkie Oczy leży tuż nad granicą radziecką, rzadko kto tutaj zagląda. Miejscowa ludność trudni się rolnictwem i hodowlą. Owszem, nie powiem furmankami regularnie dowozi się towary z odległego o 20 km Lubaczowa, poczta przywozi listy i prasę. W Wielkich Oczach jest szkoła podstawowa, biblioteka i subwencjonowana przez państwo gromadzka świetlica. Ale to jeszcze nie wszystko. W Wielkich Oczach mieszkają ludzie dzięki którym ich odległa wioska jest jedną z przodujących w powiecie. Gromada Wielkie Oczy dzierży proporzec przechodni za terminowe wywiązywanie się z wszystkich świadczeń na rzecz państwa i w bieżącym roku jako pierwsza w powiecie zakończyła akcję żniwną i za otrzymaną nagrodę pieniężną w kwocie 3.000 zł zakupiono 40 krzeseł do świetlicy gromadzkiej.

Bo świetlica gromadzka w Wielkich Oczach jest tym stałym miejscem spotkań, zabaw, nauki i wymiany doświadczeń młodzieży i starszych. Zespół artystyczny miejscowej młodzieży też jest przodującym zespołem w powiecie, czego dowodem jest I miejsce zajęte na eliminacjach powiatowych, udział w eliminacjach wojewódzkich i przechodni proporzec, który jest chlubą tej młodzieży.

A więc dwa proporce w dwu odrębnych dziedzinach, ale jakże ściśle ze sobą powiązane... Bo czyż nie jako pewnik możemy wysnuć wniosek, że tam gdzie życie kulturalne rozwija się właściwie tam z pewnością życie gospodarcze i świadomość obywatelska postawiona jest odpowiednio wysoko — Gromada Wielkie Oczy jest tego potwierdzeniem.

Prawie codziennie, a zwłaszcza w długie wieczory jesienne i zimowe w świetlicy gromadzkiej zbiera się młodzież tej osamotnionej i oddalonej wioski. Ale nie tylko młodzież. Grono nauczycielskie miejscowej szkoły, z którego wyróżnić należy nauczycielkę i zarazem przewodniczącą gromadzkiego koła ZMP Danutę Mazur i nauczycielkę Marię Czorniak — organizuje często odczyty na aktualne tematy i dyskusje nad książkami, a wtedy do świetlicy przychodzą też starsi, słuchają, zabierają głos, dyskutują...

Częstymi gośćmi w świetlicy w Wielkich Oczach są żołnierze WOP. Wspólnie z młodzieżą cywilną przygotowują oni programy artystyczne, wspólnie występują. A już najbardziej lubianą postacią jest starszy szeregowiec Rysiek Gerard, który przychodzi do świetlicy i uczy zespół śpiewać nowe piosenki. Świetlica w Wielkich Oczach w podarku od żołnierzy otrzymała na własność skrzypce, a ile razy potrzebny jest akordeon, żołnierze WOP zawsze go pożyczają zespołowi kolegów cywilów.

Świetlica w Wielkich Oczach ma też swoje kłopoty. Wspomina o nich sekretarz POP tow. Józef Pisarz.

— Budynek, w którym mieści się nasza świetlica — mówi tow. Pisarz — jest już stary. Drzewo próchnieje i konieczny jest remont dachu. Cóż z tego... Nie mamy funduszów i nie możemy wyprosić ani grosza od Prezydium PRN w Lubaczowie. Był u nas kilka miesięcy temu przedstawiciel Wydz. Kultury WRN. Przyrzekł, że przyśle nam do świetlicy różne gry towarzyskie, ale do dzisiaj nic nie przysłał. Tak o nas pamiętają. Na szczęście młodzież gromady Wielkie Oczy nie zraża się tymi trudnościami, ale nie jest to jeszcze wystarczającym powodem, że w ogóle można się nią nie zajmować. Raczej przeciwnie. Należy jej pomóc i nie dopuścić do osłabienia jej zainteresowań kulturalnych. O tym powinien pamiętać kierownik Oddz. Kultury PRN w Lubaczowie tow. Filipiak i zainteresować się tą przodującą w powiecie świetlicą, a przedstawiciel Wydz. Kultury WRN powinien sobie przypomnieć o przyrzeczeniu i wysłać do świetlicy gromadzkiej w Wielkich Oczach przyobiecane gry świetlicowe.

No i kino objazdowe też częściej powinno zaglądać do grom. Wielkie Oczy i naprawić swoją złą opinię.

— Szkoda iść do kina — mawiają mieszkańcy tej gromady, bo i tak ekipa nie przyjedzie, pomimo tego, że rozwiesili afisze — tak już przecież było...

A mieszkańcy tej oddalonej wioski łakną rozrywki. Najlepszy dowód, że gdy ostatnio, co miało miejsce po raz pierwszy w historii, w Wielkich Oczach wystąpił krakowski zespół estradowy PPIE — sala świetlicy gromadzkiej była przepełniona publicznością. A przy pożegnaniu artystów krakowskich padały słowa:

— Do zobaczenia.

— Zapraszamy was.

— Przyjeżdżajcie do nas częściej.

— Nie wolno zapominać o mieszkańcach oddalonej wioski za bajkowymi siedmioma górami, siedmioma lasami i siedmioma kilometrami fatalnej piaszczystej drogi. Pamiętać musimy o tym, że zetempowcy i członkowie zespołu artystycznego w świetlicy Wielkich Oczu gdy tylko zachodzi potrzeba zawsze zakasują rękawy i stają do pracy w polu. Tak było ostatnio. Gdy z powodu ciągłych deszczów żniwa były opóźnione — członkowie zespołu artystycznego i zetempowcy tej wioski, między którymi wyróżnić należy Mariana Broncharda, Stanisława Bołociucha, Andrzeja Sawińskiego, Mariana Pałczaka, Józefa Pisarza i in. — zakasali rękawy, pomogli miejscowej spółdzielni produkcyjnej i gromada Wielkie Oczy zakończyła akcję żniwną jako pierwsza w powiecie.

Dlatego tych dwóch proporców — za osiągnięcia produkcyjne i artystyczne — nie możemy omawiać oddzielnie.

JULIAN WOŹNIAK.

W MIESIĄCU BUDOWY STOLICY

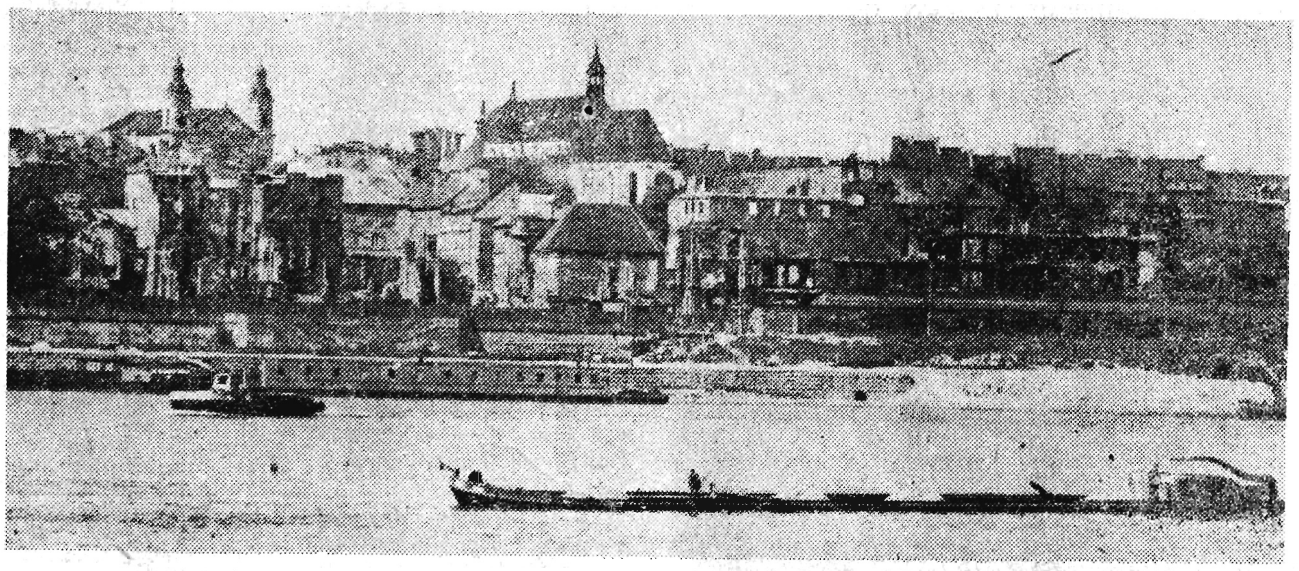

Dzięki wysiłkom budowniczych nowej socjalistycznej Warszawy panorama stolicy od strony Wisły przedstawia obecnie piękny widok.

Minęło kilka dni od premiery opery Pucciniego „Tosca". Mianem zaskoczenia określili to wydarzenie kulturalne naszego miasta prof. Stanisław Jarocki, obecny w tym dniu na przedstawieniu. Ten wieloletni i znakomity scenograf Opery Poznańskiej, projektant oprawy scenicznej do omawianej opery, oświadczył:

Wiedziałem, że będzie to dobra robota, ale to co ujrzałem zaskoczyło mnie całkowicie. Przedstawienie premierowe opery „Tosca" w dniu 17 IX br. można śmiało porównać do startu zawodowej opery. Zespół osiągnął duży sukces i przekroczył granicę tego co się nazywa amatorstwem. Wkład pracy i jej wynik da się zaliczyć do wysokich osiągnięć artystycznych.

Publiczność rzeszowska doznała również zaskoczenia i zgotowała zespołowi żywiołową owację. Wykonawcy poszczególnych partii, Tosca — Melania Rabczyńska (sopran), Cavaradossi — Paweł Brzozowski (tenor) i baron Scarpio — Kazimierz Kurzeja — (baryton) wyróżnili się na tle całego zespołu grą aktorską jak i walorami wokalnymi. Specjalnie u Brzozowskiego i Kurzeji daje się zauważyć duży postęp w porównaniu z „Halką" gdzie wystąpili w rolach Jontka i Janusza. W niedużej roli Spoletta zwraca na siebie uwagę ob. Dydek ciekawie zapowiadający się odtwórca charakterystycznych postaci.

Dekoracje i kostiumy są piękne i śmiało możemy powiedzieć, że tej klasy oprawy scenicznej Rzeszów niewiele miał okazji dotychczas oglądać.

Orkiestralna strona opery została również postawiona na wysokim poziomie artystycznym. Długa wielomiesięczna żmudna praca pozwala dziś zebrać chlubne owoce. Orkiestra o składzie kameralnym pod dyrekcją Alojzego Łazarka gra starannie. Jasnym jest, że wolelibyśmy usłyszeć tę orkiestrę w powiększonym składzie, zwłaszcza jeśli chodzi o klarnety — i blachę, ale na to trzeba będzie jeszcze cierpliwie poczekać. Postęp od „Halki" do opery „Tosca" jest dla całego zespołu bardzo duży. Daje się zauważyć u zespołu spokój, dyscyplinę, dobrą grę i śpiew artystów, a od strony publiczności gorące i serdeczne przyjęcie.

W całości przedstawienia wybija się dobra reżyseria. Można powiedzieć, że ob. Brzeski — Stojałowski aktor i reżyser teatralny dał się poznać również jako doskonały reżyser operowy.

Należy gratulować z wyrazami najwyższego uznania zespołowi za dotychczasową pracę oraz życzyć dalszego wspaniałego rozwoju.

(K.)

„Żurbinowie"

„Żurbinowie" — film radziecki. Produkcja: „Lenfilm" — 1954 r. Scenariusz wg. powieści Koczetowa: W. Koczetow i S. Kar. Reżyseria: J. Chejfic. Zdjęcia: S. Iwanow. Muzyka: S. Pruszkow.

W rolach głównych: dziadek Matwiej Żurbin — S. Łukianow, Ilia Żurbin — B. Andriejew, Agafia Karpowna — W. Kuźniecowa, Aleksiej — A. Bałatow, Wiktor — S. Kuriłow, Kostia — B. Bitiukow, Katia Trawnikowa — J. Dobronrawowa, kierownik klubu — N. Gricenko i inni.

„Żurbinowie" to film z rzędu tych, jakie głęboko przeżywa się i których obejrzenie nasuwa wiele refleksji, zmusza do głębszego zastanowienia się nad wieloma sprawami.

Zasadniczy walor filmu polega na tym, że zawiera potężny ładunek wychowawczy, wiele wiary w codzienny humanizm, jaki niesie nasza epoka i ideologia. Ukazuje ile piękna, szlachetności i wiary w prostego człowieka tkwi w naszym codziennym życiu rodzinnym i społecznym. Do filmu można przykleić etykietkę: „produkcyjny". Ale nie ma on nic wspólnego ze sztampą, lakiernictwem, schematyzmem i sloganiarstwem szeregu filmów tego rodzaju, jakie oglądaliśmy dotąd na naszych ekranach.

Przy całej swej wychowawczej wymowie i wysokim ciężarze gatunkowym film „Żurbinowie" posiada nieprzeciętne walory artystyczne, wiele szczerej prawdy o życiu i spory ładunek emocjonalny. Bohaterowie i konflikty w których biorą udział są nam bliskie, z nimi często spotykamy się w życiu — i stąd nasze zaangażowanie.

Film „Żurbinowie" ciekawy jest jeszcze z innego względu.

Jest jakby drogowskazem na dość znacznym a może nawet ostrym zakręcie — drogi rozwoju radzieckiej kinematografii. Powstał on po wielkiej kampanii polemik i dyskusji nad tym czy społeczeństwo radzieckie nurtują jakieś konflikty, czy są one ostre, jaki ma być pozytywny bohater, czy bez skazy? Wielka twórcza dyskusja zwalczała wsteczną teorię o wewnętrznej bezkonfliktowości, wykazała, że bohater pozytywny to nie papierowy bohater idealny, bez skazy — bo takich w życiu nie ma, ale człowiek żywy, mający zalety ale również i wady.

Te wyniki twórczości dyskusji wyraźniej widać w omawianym filmie.

Scenariusz powstał na bazie powieści Koczetowa pod tym samym tytułem. Scenariusze powstające na podstawie dzieł literackich mają swoje zalety i wady. Scenariusze robi się przeważnie z powieści(czy dramatów), które szczęśliwie przeszły przez szlif twórczego ognia krytyki. Pozwala to uniknąć w scenariuszu wielu błędów z tych, które wytknęła krytyka, skoncentrować uwagę na rzeczach bardziej wartościowych, zniwelować płycizny i potknięcia. To są zalety.

A wady? Powieściowa wielowątkowość i niekiedy brak właściwego stopniowania tych wątków. To wszystko dotyczy właśnie „Żurbinów". Film jest właściwie splotem wielu konfliktów, nawet dość luźno ze sobą związanych, krzyżujących się tylko w domku wielkiej rodziny Żurbinów i w przyportowej stoczni.

Brak właściwego stopniowania konfliktów, ich mnogość sprawiają, że poszczególnym wątkom poświęcono trochę za mało miejsca, zagubiono zasadę nadrzędności — stąd pewne rozdrobienie i chaos.

Zbyt skrótowo został potraktowany bodajże najpiękniejszy wątek dotyczący miłości Aloszy Żurbina i Katii.

Alosza jest postacią bezsprzecznie pozytywną. Przodownik pracy, sportowiec, ładny wesoły chłopak — tylko trochę zarozumiały, ale ta zarozumiałość wynika z podrażnionej ambicji. Alosza zostaje „puszczony kantem" przez swą ukochaną Katię. Rozwija się konflikt i sęk w tym, że jest to konflikt dwóch postaci pozytywnych.

Czy na uroczą, młodą i niedoświadczoną dziewczynę można rzucać gromy za to, że zamiast młodego wybrała mężczyznę, który potrafił jej zaimponować swą wiedzą? (Nawiasem trzeba dodać - że postać owego kierownika klubu jest jedyną słabo opracowaną sylwetką w tym filmie). Czy młode dziewczę mogło zgłębić uwodzicielski charakter tego — „mądrego" w jej oczach — mężczyzny. Gdy zorientowała się było już za późno.

Alosza przebacza jej, żeni się z nią i adoptuje dziecko. Można się oczywiście sprzeczać czy było to podyktowane litością, gorącą, nie zaspokojoną miłością, która została przerwana przed dojściem do swego rozkwitu, rozsądkiem — ale jedno jest jasne: był to przykład wielkiego humanizmu codziennego życia.

Widz może dumać i zastanawiać się nad ich przyszłym losem. Czy życie ich będzie szczęśliwe i sielankowe, czy dojdzie jeszcze do jakichś wstrząsów i konfliktów. Nie wiadomo. Możemy różnie o tym wnioskować, jak również możemy dopowiedzieć sobie dalsze losy Lidy i Wiktora czy ich drogi zejdą się jeszcze? Możliwe. Przecież Lida nie bez smutku opuszczała swego męża.

Drugi bardzo piękny konflikt w sztuce to sprawy niedołężniejącego pradziadka Matwieja Żurbina, który bez stoczni nie może żyć. Sergiusz Łukianów stworzył postać niezapomnianą, kapitalną i niezwykle sugestywną. Mądry, doświadczony rewolucjonista rozumie, że nie może już podołać pracy tak jak dawniej, — ale pozostaje dalej aktywnym potrafi przyjacielsko pouczać i swego syna i łysawego dyrektora stoczni.

Końcowy moment filmu wywołuje wzruszenie. Towarzysze pracy ocenili zasługi starego Matwieja. Na zgrabnym kadłubie nowego, wodowanego okrętu widoczna jest jego nazwa: „Matwiej Żurbin". Czy w tym posunięciu stoczniowców nie widać pięknego, wzruszającego humanizmu? Albo w tym, że Ilia Żurbin dochodzi do wniosku, że na naukę nigdy nie jest za późno, nawet gdy jest się już dziadkiem? Że kierownik biura informacji Skobielew po długich poszukiwaniach znajduje wrzeszcie konkretny cel w życiu?

Wątków jest wiele i wiele w nich zawartych jest codziennej życiowej pracy.

To, że film się udał — zależało w bardzo dużej mierze od gry aktorskiej. Prócz bladej, niedorysowanej postaci kierownika klubu — o innych wykonawcach można mówić w samych superlatywach. Lecz po co rozdawać cenzurki, skoro najlepszą notę otrzymał film od jury festiwalu w Cannes gdzie film otrzymał nagrodę właśnie za doskonałą grę aktorską.

Wiesław Prusek

Jerzy Hordyński

Przeminie tysiąc gór i tysiąc mórz
i tyleż snów umknie spod powiek,
odejdą księgi — cienie prawd i burz,
zostanie człowiek.

Odegna wiatry nieulękły mąż,
zadrży powietrze od nowych owoców.
lecz pozostaną wokół ziemi wciąż
te same gwiazdy nocą.

I znów za milion innych lat,
jak teraz — będzie się wwiercał
ktoś w najdrobniejszy świat
własnego serca.

Uczony, który wszystko wie

Czyż można byłoby położyć na stół pracowni uczonego wszystkie nowości z nauki, które wyszły w świecie w ciągu jednego dnia?

Tak, ale na ten stół trzeba byłoby nałożyć tego całe auto ciężarowe. Z chemii np. artykuły naukowe spotkać można w tysiącach periodyków świata. W ten sposób jeśli jesteś chemikiem, to poczta codziennie będzie ci dostarczała średnio po 200 czasopism. Ale to wówczas, jeśli one wychodzą raz w miesiącu, ale większość z nich wychodzi częściej. Dla przeczytania ich potrzebna znajomość 36 języków: angielskiego, japońskiego, rosyjskiego, niemieckiego, francuskiego i szwedzkiego i oprócz tego jeszcze 30 innych.

Aby nie wynajdywać rzeczy już wynalezionych i nie wywalać otwartych drzwi każdy specjalista i uczony winien na bieżąco uzupełniać wiedzę w zakresie swojej specjalności. Ale jak można żądać od człowieka znajomości 36 języków i aby co dnia przeczytał 200 czasopism?

Czy jest wyjście? I czy ono w ogóle istnieje? Jest. Istnieje „zbiorowy uczony", który rozwiązuje to zadanie. Uczony ten nazywa się Instytutem Naukowej Informacji Akademii Nauk ZSRR. Jego stoły wytrzymują ciężar, od którego zawaliłby się stół każdego pojedynczego uczonego. Zasadniczym zadaniem instytutu zreferować naukową literaturę dla uczonych i specjalistów aby żaden z nich nie robił całej roboty sam dla siebie. Instytut rozwiązuje to zagadnienie przy pomocy dziennika referatów. W dzienniku regularnie publikuje się referaty, notatki i bibliograficzne wiadomości z całej literatury, wychodzącej w świecie i naświetlającej fizyko-matematyczne, chemiczne, biologiczne, geologiczno-geograficzne nauki i technikę — to wyczerpujący rejestr całej współczesnej naukowej literatury w tych gałęziach wiedzy. Gdy tylko ukaże się czasopismo czy książka w instytucie, natychmiast po zdjęciu opaski i zarejestrowaniu naukowy pracownik rozdzielacz, pierwszy czyta. Od rozdzielającego artykuł dostaje się do redakcji poszczególnych wydań czasopisma. Jeśli artykuł ten sam potrzebny kilku redakcjom, a egzemplarzy wydania mniej — to sporządza się z niego fotokopie. W redakcji po przeczytaniu zaleconego rozdzielcą artykułu, robią na karteczce przyszpilonej do artykułu jego rodowód. Redaktor odpowiedniego pododdziału dziennika referatów za każdym razem decyduje co wybrać, co należy polecić drukować. Może się jednak zdarzyć, że któryś z czytelników zapragnie dokładniej poznać treść artykułu, to wówczas prześlą mu fotokopię z artykułu, tak samo z każdego innego, a na żądanie nawet przekład. Tego rodzaju obsługa czytelnika należy również do zakresu instytutu. Jeśli redaktor uznał za konieczne nie ograniczać się do bibliografii, a dać zamówienie na wyciąg czy referat, to z miejsca postanawia komu pracę zlecić. Dlatego winien on znać wszystkich uczonych w Związku Radzieckim, pracujących w danej gałęzi wiedzy, wiedzieć jakimi językami każdy z nich włada i wreszcie sam winien posiadać o ile możności znajomość kilku języków. Dlatego redaktorzy nasi dzienników referatowych najwięksi uczeni. W ostatnim czasie instytut nawiązuje współpracę i z uczonymi krajów demokracji ludowej. Instytut szeroko wciąga do pracy pracowników pozaetatowych. I nie tylko dlatego, że bez sztabu kilku tysięcy ludzi nie mógłby pracować. Ale umieć wybrać najcenniejsze wiadomości z artykułu może tylko ten, dla kogo praktycznie ważne sprawy poruszane są w artykule.

Korzyść jaką przynoszą dzienniki referatowe Instytutu naukowej informacji Akademii Nauk ZSRR nie ogranicza się tylko do ekonomii środków materialnych. Ile twórczego trudu uczonych zaoszczędzają one, informując regularnie czego nie należy już szukać, nad czym nie należy łamać głowy. Ile nowych myśli budzą one, dają bodziec do nowych odkryć, stwarzają nowe idee. Ogromne znaczenie posiada dziennik referatów i dla uczonych krajów demokracji ludowej, w których poznawanie j. rosyjskiego zdobywa coraz szersze granice. Dziennik ten, przy pomocy, którego łatwo i dogodnie śledzić za ogólno-światową literaturą sprzyja aktywnemu poznaniu j. rosyjskiego.

Kręgi pracy instytutu stale wzrastają. Instytut przystąpił też do nowej formy informowania czytelnika: do wydawania tzw. „Ekspress-informacji". Są to ulotki poświęcone jakiemu kolwiek jednemu artykułowi o cennej rzeczy praktycznej nie cierpiącej zwłoki.

Instytut rozpoczął i drugą bardzo ważną pracę — zestawienie indeksów. Artykuł bowiem naukowy często — gęsto nawet w ciągu dziesiątek lat nie starzeje się i w ten sposób komplet dziennika referatowego tworzy stopniowo sposób przewodnik encyklopedyczny w danej gałęzi wiedzy. Kluczem do niego — znacznik.

System znaczników opracowany obecnie w instytucie będzie doprowadzony do perfekcji. Każdy rocznik dziennika referatowego będzie zaopatrzony indeksami — autorskim i przedmiotowym, a także szeregiem pomocniczych. Tak np. dziennik z chemii będzie posiadał indeks formuł i reakcji. Dotychczas indeksu reakcji z chemii nie było w żadnym dzienniku referatowym świata.

Instytut naukowej informacji jest jednym z najmłodszych instytutów Akademii Nauk ZSRR. Istnieje od lat trzech. Ale od pierwszej chwili swojego istnienia przynosi olbrzymie korzyści gospodarce narodowej i kulturze i z każdym rokiem będzie przynosił coraz to większą korzyść.

tłum. z ros. Jan Rygiel

Nowej dyrekcji pod rozwagę

O teatrze nie chciałam pisać. Po prostu bałam się go, jak człowiek boi się dużej wody, gdy nie umie pływać. Zdecydowałam się „rozgryźć" problemy nurtujące teatr po ukazaniu się artykułu kolegi w „Nowinach Tygodnia" i dyskusji jaka wywiązała się nad artykułem nie w teatrze, ale w redakcji. Twierdzono, że artykuł płytki, nie docierający do sedna zagadnienia. Stanęłam po stronie autora, którego zamierzeniem nie było właśnie dotrzeć do sedna rzeczy, ale pokazać teatr od strony widza, dać wypowiedzi ludzi, którzy różnie patrzą na nasz teatr. Kolega liczył, że właśnie jego artykuł rozpocznie dyskusję o teatrze na łamach „Nowin Tygodnia". Niechże ten artykuł będzie jednym z głosów dyskusji.

Teatr Ziemi Rzeszowskiej obchodził dziesięciolecie swojej pracy i przy tej okazji mówiono dużo o repertuarze, osiągnięciach teatru. Ale mówiono w czasie przeszłym — wszystko było... Był dobry repertuar, byli dobrzy, znani aktorzy, grano przy pełnej widowni. Prawie nikt nie mówił o tym co jest, no bo i o czym było mówić, skoro nasz teatr po dziesięciu latach pracy zwłaszcza w ostatnich dwóch latach jest zachwiany. Po wieloletniej pracy dyrekcja teatru stanęła wobec perspektywy, że w krótkim czasie zostanie bez aktorów, bo większość z grupy młodych absolwentów, którzy niedawno do naszego teatru przyszli, złożyli wypowiedzenia. Przypominam sobie rozmowę z byłym kierownikiem literackim teatru dr Dybowskim, kiedy zastanawialiśmy się nad sytuacją w teatrze, dr Dybowski powiedział: No, cóż, jak pouciekają nam aktorzy, to dobierzemy amatorów z zespołów teatralnych z domów kultury. A co będzie z poziomem — zapytałam? Trudno, to była jedyna odpowiedź.

Pustki na widowni

Cóż będzie z poziomem? Na to pytanie nie trudno było odpowiedzieć. Poziom będzie mniej więcej taki, jak znanego zespołu amatorskiego z krośnieńskiego domu kultury (który czasami przewyższa nasz teatr). A rezultat — pod znakiem zapytania. O tym wydaje się, dyrekcja teatru zapomniała. Nie znaczy to, że zespół amatorski z Krosna jest zły, (grają tam przy pełnych kompletach, ale od zawodowych aktorów mamy prawo wymagać czegoś więcej i nie tylko mamy prawo, ale musimy wymagać. Po dziesięciu latach pracy poziom w teatrze musimy stwierdzić — (z czym zresztą zgadzają się aktorzy) że w Rzeszowie gra się na poziomie amatorskich zespołów.

Przyczyn takiego stanu rzeczy można wyliczyć wiele. Ja przytoczę dwie według mnie najważniejsze, dyskutanci przypuszczam, podadzą więcej. Przede wszystkim **wygórowany plan obsługowy**, a co się z tym ściśle wiąże, praca aktorów nad sobą, brak dokształcania. Mam przed sobą projekt planu na rok 1955. Na rok 1955 teatr projektuje dać 7 premier i 490 przedstawień, w tym 220 w terenie. Bądźmy na moment matematykami i z ołówkiem w ręku obliczmy: po odliczeniu poniedziałków, (kiedy teatr jest nieczynny) mamy 320 dni. Z 490 przedstawień zostanie 170 nie mieszczących się w dniach roku, więc dyrekcja planuje 34 popołudniówki, żeby wykonać plan. A zdarzało się, że teatr był nie tylko w poniedziałki nieczynny. Projekt planu wysłano do Centralnego Zarządu w Warszawie do zatwierdzenia. Tam przyglądnięto się planowi, pokiwano głową i doszli wszyscy do wniosku, że to stanowczo za dużo. Ale cóż, jeżeli chcą? Po zastanowieniu się jeszcze w teatrze nad możliwościami wykonania planu, rada artystyczna dochodzi do wniosku, że planu nie wykona i prosi Centralny Zarząd w Warszawie o skreślenie pewnej ilości przedstawień. Warszawa się zgadza i skreśla 45 przedstawień. No, ale mówią, przedstawienia wam skreślimy, lecz zaplanowanej ilości widzów i wpływów kasowych skreślić nie możemy.

Otóż to, teatr sam sobie zawiązał stryczek na szyję. Rada artystyczna po przeanalizowaniu doszła do wniosku, że trzeba aktorów podzielić na dwie grupy a raczej grupki, ponieważ aktorów z prawdziwego zdarzenia tzn. po studiach jest około 24. Jedna grupa będzie grała w bazie, a druga w terenie z równoczesnym przygotowywaniem się do następnych premier. Wprawdzie przy projekcie planu kierownik artystyczny upominał się o zwiększenie ilości aktorów i zabezpieczenie możliwości mieszkaniowych, co było zupełnie nierealne bowiem Zarząd Główny nie wytrzepie aktorów z rękawa, ani też MRN w ciągu kilku miesięcy nie zapewni warunków mieszkaniowych.

Co pociągnął za sobą ten wygórowany plan? Rzecz jasna obniżenie poziomu artystycznego. Ale co gorsze, przy podziale na dwie grupy, grupa objazdowa musiała przygotowywać się do następnej premiery w terenie, w wagonie kolejowym, hotelu, i gdzie się dało. Doprowadziło to do eksploatacji aktorów i pracy ponad siły. I nie należy się dziwić, że sala podczas przedstawień świeci pustkami.

Dyr. Jerzy Kobryń dopatruje się różnych przyczyn pustek na sali. A więc:... zespoły domów kultury zaczynają dublować teatr, porywają się nawet na poważny repertuar jak „Intryga i miłość" Schillera wystawioną przez zespół domu kultury z Krosna i to z dużym powodzeniem. Dyrekcja teatru w strachu.

Nie dyskutowałam na ten temat z dyrektorem Kobryniem, ale przecież to już **jest zupełnie źle, kiedy zawodowy teatr zaczyna obawiać się konkurencji zespołów amatorskich. Świadczy to o niskim poziomie teatru.**

Sprawa młodych

Dyrektor Kobryń ma przed sobą artykuł kolegi z poprzedniego numeru „Nowin Tygodnia" i zdenerwowany czyta o młodych aktorach, którzy opuścili nasz teatr. Po co do tej sprawy wracać?! — twierdzi dyrektor Kobryń.

Ja będę uparta i do tej sprawy jeszcze raz wrócę.

Teatr nasz zasiliło 10 młodych aktorów ze szkoły aktorskiej w Łodzi. Ludzie ci przyszli z zapałem do pracy, chcieli jak najwięcej dać z siebie. Zgodzimy się z tym, że poważna część tych ludzi to zdolni aktorzy. Po pewnym czasie składają oni wypowiedzenia, uciekają z naszego teatru, jak się wyraził dyrektor — dezerterują. Przyczyny: brak mieszkań, nawał pracy.

Co dyrekcja naszego teatru zrobiła, by tych niewątpliwie zdolnych ludzi zatrzymać, tym bardziej, że kwestia mieszkaniowa odpadła, bowiem wszyscy mieszkania otrzymali. **Można śmiało powiedzieć nic! Gorzej, nie tylko nic nie zrobiła żeby ich zatrzymać, ale przyczyniła się do tego, że uciekli.**

„My nie możemy zatrzymywać aktora, jeżeli przyjmują go teatry większe we Wrocławiu czy Warszawie".

My nie możemy zatrzymywać, ale stwórzmy warunki pracy młodemu aktorowi, a wtedy on będzie długo się zastanawiał czy właśnie odejść do Wrocławia czy Warszawy.

A cóż zrobiła dyrekcja teatru? Mieszkania to jeszcze nie wszystko. Aktor oprócz mieszkania musi mieć czas na prywatne życie, na dokształcanie się, czytanie i inne. Tymczasem rozkład dnia pracy aktora tak mniej więcej wygląda. Rano próby, po południu aktorzy w terenie dają popołudniówki żeby wykonać plan. Wieczorem przedstawienie, które trwa — jak wiemy — do godziny 22. Pytam, kiedy aktor ma czas dla siebie, kiedy ma czytać i uczyć się?! Tym bardziej, **że każdy młody aktor gra w każdej sztuce i to przeważnie główne role. Nie ma więc przerw.** Tak pracujący aktor pozostaje w tyle i zdaje sobie sprawę z tego, że jeżeli dzisiaj nie odejdzie do Warszawy czy Wrocławia, to jutro będzie mógł grać tylko w zespołach amatorskich.

Dyrektor Kobryń wyjaśniając sprawę Tadeusza Sabary, który też odchodzi, powiedział: cóż my możemy zrobić, daliśmy mu wszystko, ma piękne mieszkanie, gra w każdej sztuce i to jedną z głównych ról.

A ja zapytam, czy dyrekcja stworzyła warunki temu niewątpliwie zdolnemu aktorowi do nauki? Czy ktoś się zastanawiał nad odciążeniem go od pracy? Nie. Przecież trzeba wykonać plan obsługowy. A teraz puszcza się tego młodego aktora z przekonaniem, **że się wszystko zrobiło dla jego dobra i na drogę jeszcze przyczepia mu się łatkę dezertera?!**

I jeszcze jeden błąd popełniła rada artystyczna a zwłaszcza kierownik artystyczny w stosunku do młodych aktorów. Dawano im główne role. Zrobiono z niektórych gwiazdy teatralne. Więc niejednemu młodemu aktorowi „woda sodowa" uderzyła do głowy. Jeżeli tak, to po cóż ja będę siedział w Rzeszowie rozumował Wójcik i nie tylko Wójcik. Po wyjeździe z Rzeszowa okazało się, że jeszcze długo, bardzo długo muszą oni nad sobą pracować, aby być dobrymi aktorami.

Pewnego razu rozmawiałam z przedstawicielem poważnej instytucji mającej duży wpływ na teatr, na temat przenoszenia się młodych aktorów. Tenże przedstawiciel ciekawie rozwiązał ten problem. No cóż, powiada, nie ma się czym martwić. Podzwonimy do wszystkich KW PZPR, żeby ich w innych teatrach nie przyjęli i wrócą do nas.

Wypowiedź ta przypomina mi podobne rozumowanie właściciela sklepu z czasów wojny. Kiedy go zapytał znajomy co zrobimy jak przyjdzie do nas armia niemiecka, odpowiedział: pozamykamy sklepy, nie będą mieli co jeść i pójdą sobie".

Plany są po to aby je nie wykonywać

Takie „hasło" przyjęło kierownictwo teatru. Mam na myśli plan repertuarowy. Podobno był taki plan. Zaznaczam podobno, ponieważ dyrekcja teatru planu repertuarowego nie posiada, tłumacząc się, że wziął go poprzedni kierownik artystyczny Janina Orsza-Łukasiewicz. Podobno dyskutowano nad tym planem z tow. Grabowskim zastępcą kierownika Wydziału Propagandy KW. Oczywiście, dyrekcja teatru zaznaczyła na wstępie, że jest to plan nierealny, nie będzie wykonany, ponieważ brak aktorów. **Nad czym więc było dyskutować? Po co było w ogóle taki plan sporządzać, wiedząc z góry, że nie będzie wykonany?** Chyba tylko dlatego, aby się wykazać przed Zarządem Centralnym w Warszawie.

Trudno mi w tej chwili powiedzieć, czy przynajmniej jedna pozycja z planu była grana. To zresztą w tej chwili nie jest ważne. Zastanówmy się nad tym, co widzieliśmy na scenie. Nowy sezon teatralny rozpoczęto prapremierą sztuki „Joanna Ligęza", która według dyrektora miała zapełnić kasę.

W teatrze tak się praktykuje — opowiada dyrektor Kobryń, że oprócz dobrych pozycji, które społeczeństwo powinno zobaczyć gra się jedną lub dwie „pod publikę" aby zapełnić właśnie kasę.

W tym celu wystawiono grafomańską sztukę „Joanna Ligęza". Ale właśnie ta „publika" sztuki nie przyjęła. Ba — jedna z nauczycielek na zebraniu Frontu Narodowego w Staroniwie powiedziała, że „woli szorować podłogę w domu aniżeli iść do teatru i oglądać taką sztukę".

Widownia świeciła pustkami.

Po „Joannie Ligęzie" wystawiono **„Mieszczan"** Gorkiego sztukę poważną, dobrą. Cóż się okazuje, społeczeństwo jej nie rozumie, w najbardziej tragicznych momentach widownia wybucha śmiechem. **„Mieszczan"** należało repertuarowo podbudować. Społeczeństwo należy przygotować do tak poważnej sztuki. Później wystawiono **„Dom Kobiet", „Romantyczni"**, ale o wystawieniu tych sztuk decydowano z dnia na dzień. Mało, na próbach dopiero wykreślano pewne partie.

O teatrze można napisać jeszcze wiele, przypuszczam, że uczynią to dyskutanci. A nad uwagami dyskutantów nowa dyrekcja zastanowi się, aby tych samych błędów nie popełniać.

Stanisława Dubyk

Na zdjęciu: Scena zbiorowa z aktu I „Mieszczan" Gorkiego — w wykonaniu PTZRz.

Rozważania aktora

(Odpowiedź J. Woźniakowi)

W ostatnim numerze „Nowin Tygodnia" z dnia 18 bm. pojawił się artykuł opatrzony następującym tytułem: „Co mówią o teatrze rzeszowskim". Autor tego artykułu — a jest nim Julian Woźniak — ciętym piórkiem opisał pracę teatru w Rzeszowie ubolewając nad jego upadkiem.

Mała dygresja. Nie zamierzam tutaj, rzecz jasna, poddawać krytyce słów autora, bo ma trochę racji, ale, podkreślam, tylko trochę.

Wasze słuszne par excellence celne uwagi i spostrzeżenia, zostały zubożone skutkiem niedostatecznej znajomości zagadnienia. Przez porównywanie PTZRz do teatrów krakowskich, warszawskich czy łódzkich z miejsca nie zdaje egzaminu i z góry skazane jest na niepowodzenie. Zrozumcież, że frekwencja w teatrach takich jak Kraków, Warszawa, Stalinogród jest siłą rzeczy wyższa, wynikająca ze stopnia zagęszczenia ludności, a także z powodu istniejących tam dużych ośrodków twórczych, inteligencji pracującej, dla której teatr jest znacznie bliższy, niż kulejącej jeszcze kulturalnie publiczce mieszczańskiej Rzeszowa, która wypełnia widownię naszego teatru.

Tak więc operowanie podobnymi faktami, przytaczanie osiągnięć repertuarowych wyżej wspomnianych teatrów, nie stanowi i nie może stanowić żadnego kryterium oceny.

No, a w ogóle to nie przesadzajmy. Nie dalej jak w sierpniu byłem w krakowskim teatrze „Poezji". Spieszę Wam donieść, że nawet tak świetna sztuka K. Korcellego jak „Dom na Twardej", nota bene, świetnie zrobiona i świetnie zagrana, nie potrafiła podbić serc krakowiaków, skoro przedstawienia odbywały się przy połowie widowni.

Drugim, bardzo spornym, ale i zasadniczym momentem naszej publicznej pogawędki jest Wasza reporterska wyobraźnia która ocenę pracy i osiągnięć PTZRz przeprowadza przez usta poszczególnych ludzi.

Nie wiem, czy wypowiedź napotkanego na ulicy inżyniera, który podczas studiów był gorącym wielbicielem Melpomeny Wrocławskiej, a którego nieszczęśliwy los rzucił na rzeszowskie ugory teatralne, może stanowić wyraz ogółu, uogólnienie będące odbiciem nastrojów wśród sympatyków teatru. Jeśli tak, to bardzo niezdarne i nieszczęśliwe. Tym bardziej, że wspomniany osobnik uczepił się akurat sztuki A. Fredry „Godzien litości", prawie że nie granej w Rzeszowie, będącej zobowiązaniem 1-majowym aktorów w celach osiągnięcia wskaźników ilościowych a nie jakościowych. Najbardziej jednak niewłaściwa jest wypowiedź dwóch młodych plastyków, którzy na podstawie sztuki pt. „Joanna Ligęza" usiłują przemycić pogląd jakoby gra zespołu aktorskiego była sztuczna i nienaturalna. Takie ujmowanie sprawy, a co gorsza, subiektywne wypowiadanie i syntetyzowanie zagadnienia w ramach jednej sztuki nie jest najsłuszniejsze i najwłaściwsze.

Karol Borowski, doskonały reżyser Teatru Polskiego w Warszawie bardzo wysoko stawiał możliwości artystyczne zespołu PTZRz. A niektóre osiągnięcia artystyczne aktorów występujących w „Imieninach pana dyrektora" jak też „Domu Kobiet" uważał za wręcz znakomite.

No, dobrze — zapytacie drogi redaktorze — ale kto w takim razie zawinił, że sytuacja w teatrze jest nieszczególna, nie taka jaka winna panować w prawdziwym... artystycznym teatrze. Otóż to. Nareszcie dyskusja wkroczyła na właściwe tory. Przystępując do niej, pragnę Was powiadomić, że w podobnych kłopotach znalazło się szereg teatrów prowincjonalnych. A więc nie stanowimy wyjątku. Bynajmniej nie jest to zjawisko ani wesołe, ani pocieszające.

Główną przyczyną, momentem, który okaleczył artystycznie nasz teatr — stał się nadmierny plan finansowo-usługowy. Jak może teatr właściwie funkcjonować, jak może kształtować się jego artystyczno-ideowe oblicze, skoro wtłacza się go w ramy suchej, biurokratycznej planistyki. W teatrze zaczyna wówczas grać pierwszorzędną rolę główny księgowy, a nie główny amant.

I właśnie ów nadmierny, wygórowany abstrakcyjny plan będący w wyraźnej kolizji z realnymi możliwościami miasta i terenu wytrąca teatrowi najcenniejszą broń, najszlachetniejszy oręż — poziom artystyczny. Teatr, który goni za planem, a zapomina o podstawowym warunku artystycznego oddziaływania na widza poprzez estetyczno-emocjonalne wzruszenia — skazany jest na zagładę. Jest to zjawisko nieuchronne i nieuniknione. Zaznaczyć należy, że mimo ostrzegawczych głosów ze strony członków zespołu skupiających się w szeregach bądź to POP bądź też RM, kierownictwo nie chciało wyciągnąć właściwych wniosków.

A może chcecie jeszcze — kolego Woźniak — posłuchać jak wyglądają bliżej sprawy związane z nadmierną produkcją i jakie są tego konsekwencje? Otóż zespół, bardzo zresztą nieliczny, wyrażający się liczbą 23 aktorów, oczywiście wyłączam tutaj administrację teatralną, która liczy tyle ile połowa wspomnianego zespołu artystycznego, dzieli się na dwie połowy. Grane są zawsze dwie sztuki.

Z chwilą gdy jedna sztuka eksploatowana jest w bazie, sztuka następna grana jest w terenie. Te dwa zespoły aktorskie wzajemnie się wykluczają. Naturalnie, niekiedy następuje fuzja tych dwóch, że się tak wyrażę, maleńkich zespolików, ale to na gruncie li tylko towarzyskim i koleżeńskim, lecz nigdy artystycznym... Wypad w teren rozpoczyna jak zwykle, zespół techniczny, który wiezie z sobą wszystkie niezbędne akcesoria sceniczne. Za „Kajtusiem" — bo tak nazywamy auto ciężarowe wiozące dekoracje — wyrusza „Maciuś", osobówka z poważnie nadwerężonymi oponami, które czasami, nawet na dość krótkim odcinku, potrafią i 3 razy wystrzelić.

Podróż taka odbywa się przez szereg dni (czasem 12). W zasadzie to wszystko idzie jak po maśle. Czasami tylko zdarzają się takie awarie jak... niezamówiony hotel. Trzeba wtedy działać na własną rękę. Zresztą, czy jest po co trudzić urzędników. Poza tym nie należy ich rozbijać, bo w większym gronie potrafią więcej zrobić. Wiadomo, kolektyw...

Na zakończenie taka mała, drobna uwaga. Od 1 października przychodzi nowy dyrektor. Jest nim Hugon Morycziński, który do tej pory pracował w teatrach Wybrzeża. Podobno plan usługowo-finansowy został zmniejszony. Nowy dyrektor podał już pozycje jakie w najbliższym okresie wejdą na warsztat teatralny. No, ale o tym to już może innym razem, tym bardziej, że za oknami już świta, a ja jeszcze oka nie zmrużyłem.

Józef Jachowicz
aktor Państwowego Teatru
Ziemi Rzeszowskiej

Nie piekarnia, nie pali się...

Nasz poczciwy Rzeszów rozrasta się. Stale przybywają nowe bloki mieszkalne, biurowce...

Po przeniesieniu biur WRN do pięknego gmachu przy ul. 1 Maja — biura Prezydium PRN przeniesiono do opróżnionego gmachu przy ul. Świerczewskiego, a stary zabytkowy budynek przy ul. 3 Maja 19 decyzją Prezydium MRN z dnia 18 kwietnia 1954 r. przyznany został dla Muzeum Okręgowego w Rzeszowie. Decyzja godna pochwały, tchnąca troską współczesnych rajców miasta o historyczne zabytki. Wspomniany dom przy ul. 3 Maja 19 nadaje się na muzeum znakomicie... lecz cóż z tego? Do dziś dnia pomimo ciągłych nalegań Prezydium MRN — dyrekcja Okręgowego Muzeum w Rzeszowie nie opróżniła jeszcze starego gmachu w rynku, bo, zupełnie słusznie, nie może przecież narażać cennych, muzealnych eksponatów na zniszczenie w nowym pomieszczeniu.

A było to tak. Zaraz po otrzymaniu nowego pomieszczenia stwierdzono, że konieczny jest remont budynku. Dyrekcja Muzeum zwróciła się do Pracowni Konserwacji Zabytków w Krakowie żeby ta podjęła się opracowania projektu remontu zabytkowego domu, uwzględniając rekonstrukcje wszystkich elementów starej architektury i wymogi budynku przeznaczonego dla celów muzealnictwa. Kierownictwo Pracowni Konserwacji Zabytków zupełnie szczerze odpowiedziało, że owszem, może się podjąć opracowania planów, lecz z powodu nawału prac określiło bardzo daleki termin wykonania roboty (marzec br. — przyp. mój). Termin ten nie odpowiadał dyrekcji rzeszowskiego muzeum, która z kolei zwróciła się do Miastoprojektu w Rzeszowie z powyższą propozycją. I proszę sobie wyobrazić, nasz rzeszowski Miastoprojekt Północ — Wschód bez żadnego „ale" podjął się wykonania prac, przygotowania projektów do dnia 30 grudnia 1954 r.

Ministerstwo Kultury i Sztuki na remont muzeum w Rzeszowie przyznało pół miliona złotych i zdawało się, że wszystko pójdzie gładko. Forsa jest, termin wykonania projektu jest, wykonawca remontu Rzeszowskie Zespół Budownictwa Przemysłowego Drobnej Wytwórczości — jest. Trzeba tylko poczekać na panów inżynierów z Miastoprojektu. Cierpliwie czekamy miesiąc, dwa miesiące, lecz z czasem dyrektor Muzeum Kotula i wicedyrektor Cmela zaczęli się niepokoić. Co jest u licha? Wicedyrektor Cmela udał się do Miastoprojektu, aby „ruszyć sprawę" i tutaj od inżyniera Noska dowiedział się:

— Owszem możemy zrobić ale musicie nam dać założenia projektowe.

Zabrzęczały telefony i po krótkiej wymianie pism Centralny Zarząd Muzeów przysłał do Rzeszowa potrzebne założenia projektowe. Inż. Nosek je przyjął i zdawało się, że teraz już praca ruszy. Ale gdzie tam. Ustalony termin wykonania projektów dawno minął i nic... cicho.

Wicedyrektor Cmela znów udał się do Miastoprojektu, aby od inż. Noska dowiedzieć się, że: „Owszem, mogą wykonać projekty, ale trzeba im dać... założenia projektowe, bo te są nieważne, złe". Kpiny, czy co? — pomyśleli dyrektorzy muzeum i zlecili opracowanie założeń projektowych inżynierom miejscowym. Ci w ciągu kilku dni prace wykonali. Centralny Zarząd Muzeów założenia te zatwierdził i 15. II. 1955 r. znów podpisano umowę pomiędzy Muzeum Okręgowym w Rzeszowie reprezentowanym przez dyr. Kotule a Miastoprojektem Północ-Wschód reprezentowanym przez kier. Brydaka. W umowie ustalono dokładny termin wykonania projektu na 30. VI br., a inż. Nosek osobiście, na słowo uczciwego i obowiązkowego człowieka zobowiązał się dostarczyć projekty wstępne do dnia 30 kwietnia br., aby można było rozpocząć prace wyburzeniowe.

Minął pierwszy termin, inż. Nosek słowa nie dotrzymał i projekty wstępne dostarczył dopiero 30. VI. w terminie, który w umowie miał oznaczać całkowite opracowanie projektów. Od tego terminu mija już 3 miesiące, lecz do dziś dnia projektów nie wykonano.

Nie dość tego. Prof. Wojciech Pogany, członek PAN, specjalista od usuwania zawilgoceń przyjechał do Rzeszowa, zbadał zabytkowy budynek, stwierdził zawilgocenia (bardzo niebezpieczne dla muzealnych eksponatów) przygotował plan odwodnienia i osuszenia budynku. Plan ten dyrekcja muzeum wysłała do Miastoprojektu, ale panowie inżynierowie nie raczyli nawet odpowiedzieć czy przesyłkę otrzymali. Siedzą cicho i uważają, że mogą sobie gwizdać na wszystkie terminy.

My jednak jesteśmy innego zdania. Najwyższy czas, żeby przystąpić do remontu zabytkowego budynku przy ul. 3 Maja 19. A do tego potrzebne są projekty, na które dyrekcja muzeum czeka już rok. Obywatelu inżynierze Nosek, powiadacie: „Nie piekarnia, nie pali się". Jeżeli w ten sposób stawiacie sprawę zapytamy Was inżynierze, jak długo jeszcze „nie będzie się paliło"?. Chyba nie do czasu, aż Wy sami spalicie się ze wstydu jako człowiek, który nie potrafi dotrzymać słowa. Tak?

J. W.

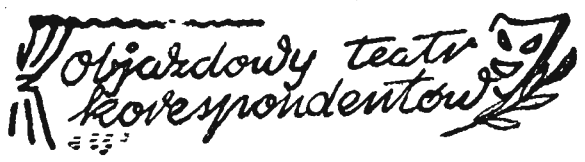

ma zaszczyt przedstawić komedię obyczajową w 4 aktach pt.:

„Cyk... na zdrowie"

Udział biorą:
Ob. Boroń — przewodn. Prez. GRN w Starejwsi
Ob. Wojtowicz — sekretarz Prez. GRN
Ob. Nizioł — prezes GS Przysietnica
Chór obywateli Starejwsi.
Dramaturgia i reżyseria Antoni DZWONEK

AKT I

Rzecz dzieje się w biurze Prezydium GRN w Starejwsi (pow. Brzozów) w godzinach pracy.

Ob. Wojtowicz
Bardzo źle się człowiek czuje
I humorku nie ma wcale.
Na robotę dawno pluje,
Bo bym zginął w jej nawale.
(pluje na robotę)

Ob. Nizioł
Lewą nogą z łóżka wstałem,
Czy mi kot przeleciał drogę,
Albo na złym boku spałem,
Że nic robić dziś nie mogę.
(rozkłada bezradnie ręce, bo „nic robić dziś nie może")

Ob. Boroń
Co za handra człeka gniecie?
Zgaga nie daje już żyć.
Nie ma kąta na tym świecie
Problemem jest: być lub nie być?
(szuka kąta na tym świecie lecz nie znajduje)
Lepiej „być"! — mam na to radę.
Zwołam, jak zwykle, „naradę".
(zwołuje „naradę")

AKT II

(do ob. ob. Wojtowicza, Nizioła, referenta podatków i innych)

Ob. Boroń
Towarzysze! Każdy słucha...
Musimy „dać sobie ducha".
Wystarczy zmrużenie oka
By się udać na...
Ob. ob. Wojtowicz, Nizioł i in.
...ćwiartoka!!!
(Ob. Boroń mruży oko, podaje hasło „przeprośmy się" i wszyscy udają się na ćwiartoka).

AKT III

(Akcja rozgrywa się w sklepie gromadzkim. Aktorzy są już „pod dobrą datą").

Ob. Wojtowicz
(filozoficznie)
Gdy człek kielicha wypije,
Wie, że jakoś takoś żyje.
Urzędowania złe skutki
Jak gardziołko nie ma wódki.

Ob. Boroń
(pochlebnie)
Nasz sekretarz dobrze gada!
Jeszcze ćwiartkę dla sąsiada!
To nie żaden jest frasunek,
Taki skromny poczęstunek.

Ob. Nizioł
(z przekonaniem)
Nam przyświeca prawda ta:
„Dobra wódka nie jest zła".
I gdy w głowie szumi trunek
Nie zważamy na rachunek.

Ob. Boroń
(uroczyście)
A więc wznoszę toast ten:
Wypijmy pod GRN.
Nikt się o tym wszak nie dowie
„Przeprośmy się", cyk... na zdrowie.
(piją pod GRN)

AKT IV

Chór obywateli Starejwsi
(fortissimo)
W Starejwsi jest dużo braków
Przez „kirusów" i pijaków.
Czas najwyższy znaleźć sposób
By się pozbyć pewnych osób.
Wszak taka Rada do kitu
Nie przynosi nam zaszczytu.
Więc rozwiążmy problem ten:
Skończyć z wódką w GRN!

KURTYNA

Logogryf aktualny

Odgadnąć 11 sześcioliterowych wyrazów o znaczeniach: 1. duże ryby morskie, ludojady, 2. cząsteczka chleba, 3. pracowity owad, 4. harfa mitologicznego boga wiatrów, 5. częsty w sklepach z popytnym towarem, 6. zbiorowa nazwa członków rodziny (wspak), 7. imię narodowej bohaterki Francji, 8. mieszkańcy jednej z azjatyckich republik ZSRR, 9. przywódca stronnictwa, przewodnik (w pisowni ang.), 10. zbiorowa nazwa igieł drzew szpilkowych, 11. Bodziec, powód, okazja.

Oznaczone litery tych wyrazów czytane pionowo dadzą w rozwiązaniu pewne dwa tytuły.

Zagadka rysunkowa

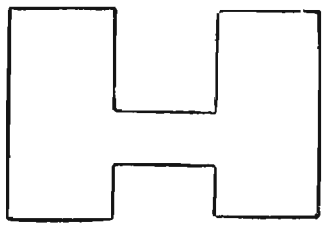

Przedstawioną figurę podzielić na trzy części jednakowe pod względem powierzchni i kształtu.

Za rozwiązanie tych zagadek przesłanych do 14 dni z dopiskiem przy adresie redakcji „Rozrywki umysłowe" przeznaczone są do rozlosowania trzy nagrody (bony książkowe po 20 zł).

Rozwiązania i nagrody

Z nr 29 (275) Metamorfoza: „Adam Harasiewicz" — arka, duma, Ares, hars, hurt, aura, rota, Aida, sowa, Irak, eter, wata, Iran, cera, zwój (inne, odpowiadające warunkom wyrazy zostały również uwzględnione).

Z nr 31 (277) Krzyżówka: Poziomo — łam, świat, autor, telefon, korekta, wariant, cnota, partia, maszynistki, prasa, obawa, konitor, reklama, kursywa, atlas, numer, PKS.

Pionowo: kaczka, cena, poczta, tekst, norma, prenumerata, Radio i Świat, kronika, Adzia, pismo, Sanok, bukwa, errata, papier, kosz.

Nagrody otrzymali (dn. 15 bm.) z Nr 26 (272): Stefan Lenkiewicz ze Strzyżowa, Jan Łęgowski z Glinika i Barbara Jurkówna z Przemyśla, z nr 27 (273): Zbigniew Krawczyński z Sarzyny, Stanisław Żelazko z Chorzelowa i Kazimierz Bostek z Przedborska, z nr 29 (278): Teresa Nutowska z Błędowej Tyczyńskiej, Jan Musiał z Jasła i Tadeusz Węgrzyniak z Wojkówki.

Uwaga uczestnicy konkursu wytrwałości

W związku z zamknięciem konkursu ogłoszonego w nr 23 prosimy wszystkich biorących w nim udział, by przy sposobności przesłania bieżących rozwiązań podali numery Nowin Tygodnia, lub tytuły zagadek konkursowych, których rozwiązania nadesłali do redakcji. Ma to na celu upewnienie się, że wszystkie wysłane rozwiązania doszły i zostały uwzględnione przy obliczaniu punktów decydujących o wysokości nagród.

Okazja

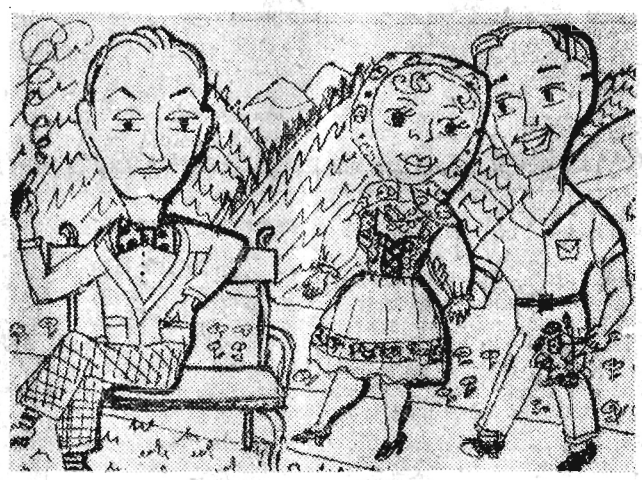

Nie możemy z ławki patrzeć się na góry lepiej chodźmy, Kasiu na... łono natury.

(W)

I. WOLAŃSKI

Kto?

Kolejka — wiecie — taka maciupka
Jeździ z Przeworska gdzieś pod Karpaty,
Zwie się powszechnie wąskotorówka,
Powstała sobie kiedyś przed laty.

Nieważne zresztą i nie nowina,
Teraz nie o to nam się rozchodzi,
Że taki pociąg na wąskich szynach,
Niech sobie będzie, komu to szkodzi.

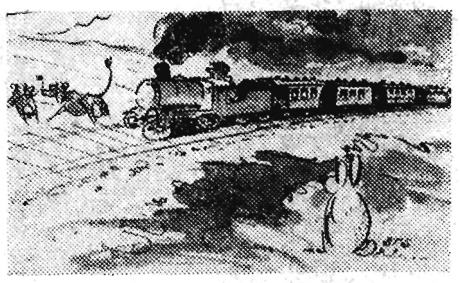

Dobrze, że jeździ, że wozi ludzi,
Węgiel na opał, belki, towary —
Gwizdem nikogo w nocy nie budzi,
Nikt nie żałuje jej dymu, pary.

Lecz w jednym tylko posiada — ale —
Chociaż są w kraju gaz, świece, nafta,
W przedziałach ciemno — nie świecą wcale,
Siedź sobie człeku po ciemku tak tam...

Jedziesz i myślisz, cóż jest do licha.
Czemu ta ciemność egipską plagą?
Czemuż w PKP jest o tym cicho?
Kto powybijał żarówki lagą?

KĄCIK filatelistyczny

W ramach uroczystości Miesiąca Pogłębienia Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w dniu 25 września br. w salach Muzeum Ziemi Przemyskiej nastąpi otwarcie wystawy znaczków poczty ZSRR, zorganizowanej przez Polski Związek Filatelistów Oddział w Przemyślu. Na wystawie będą do nabycia okolicznościowe karnety i koperty z specjalnym kasownikiem pocztowym.